

Noc czarownic

tekst: Tomasz Lippoman
www.bialowieza.com.pl

Czego nie ma w sieci, tego nie ma w ogóle – powiedział mi kiedyś kolega ze studiów, Darek Kołecki.

Był wieczór zimowy, chmurny i wietrzny, jeden z tych, które sprzyjają refleksji nad minionymi czasami, w których to ludzie byli jeszcze samowystarczalni i nieco inaczej ograniczeni w poszukiwaniu własnej prawdy o życiu. Dziś, przez większą część roku zamknięci w betonowych pudełkach, żyjemy od *Teleexpressu* do *Panoramy* i od *Panoramy* do *Wiadomości*, karmiąc się, w poszukiwaniu prawdy o sobie i świecie, rzeczywistością medialną.

Pozostając samotrzcem w bąblu ciepłego powietrza, we wnętrzu betonowego pudła, wędrowałem niespiesznie po sieci poszukując tak zwanej spuścizny. Nie opuszczała mnie jednak świadomość, że z korzeni tejsze będę spijał już tylko historyczny pokarm. Szurfowałem tak więc w sieci globalnej w poszukiwaniu informacji o związku człowieka z astronomicznymi i przyrodniczymi cyklami natury. Najwięcej informacji znalazłem na stronach opisujących współczesny ruch wiccan. Słowo *wicca* znaczy „mądra kobieta”, co później przetłumaczono na czarownica. Długo by o tym pisać, a łamy ograniczone, jak to łamy, więc do meritum spiesznie zdążam. Była to zima, więc od zimowego przesilenia roku zaczniemy.

Przesilenie zimowe jest początkiem astronomicznej zimy na półkuli północnej; tej doby dzień jest najkrótszy, a noc najdłuższa (odwrotnie na półkuli południowej, tam jest to początek astronomicznego lata). Tyle Wikipedia.

Wędrując nieco dłużej po sieci, dowiedziałem się także o dawnych obyczajach związanych z tą szczególną nocą. Słowianie święte nazywane było Godowym. Moment roku, od którego przybywało dnia, kojarzony był z nadzieją, radością, początkiem nowego roku.

Przez tysiące lat noc ta była okazją do świętowania odwiecznego cyklu natury, tej nocy bowiem przypadał jeden z tak zwanych małych sabatów, czyli świąt czarownic, zwany Yule. Odprawiano magiczne obrzędy, wypowiadano zaklęcia, tańczono w blasku księżyca, przyzywano tajemne moce, kontaktowano się z duchami zmarłych. W obrzędach magicznych posiłkowano się laurem, rumiankiem, jałowcem, ostrokrzewem, szałwią. Spożywano pieczonego indyka, orzechy, ciasta z owocami, pito korzenne wino. Palono kadzidła z cedru, rozmarynu, sosny. Yule było także poświęcone duszom zmarłych, palono ogniska, w ciepłe których miały się one ogrzać. Na grobach odprawiano rytualne uczty.

Wikingowie celebrowali tę noc na chwałę boga płodności Freya, Rzymianie oddawali cześć bogini Lucina, patronującej księżycowemu misterium, Grecy z kolei czcili Dionizosa – boga wina. Kościół chrześcijański przesunął święto o dwa dni i poświęcił je narodzinom Jezusa Chrystusa.

Pozostałe małe sabaty przypadały na przesilenie wiosenne zwane także Nocą Walpurgii (31.4/1.5), na noc z 31 lipca na 1 sierpnia zwaną Sabat Lampas oraz noc Sabat Samhain, przypadającą na przesilenie jesienne z 31 października na 1 listopada.

Duże sabaty, jak wyczytałem na stronie poświęconej *wicca*, znajdują się w pół drogi pomiędzy solarnymi sabatami i związane są z gospodarstwem – wyznaczają żniwa czy też początek wyprowadzania stad na pastwisko. Sabaty te, zwane wielkimi, związane są z datami 1/2.2, 21/22.3, 21/22.6, 21/22.8.

Bywają chwile w życiu człowieka, gdy rozczarowanie własną egzystencją staje się tak dojmujące, że nie sposób uciec przed próbą jej odmienienia. Nie pamiętam jak udało się namówić Jacka na to zamieszanie, ale jakoś tak wyszło, że nie minęło czasu wiele, gdy wspólnie zespół wędrowaliśmy na tylnym siedzeniu PKS-u relacji Białystok – Hajnówka.

Do Zabłudowa dotarliśmy późnym popołudniem 21 grudnia. Był to jeden z tych dni, gdy myśl bez udziału woli wędruje ku sprawom ostatecznym. Gruba pokrywa granatowych chmur szczelnie wypełniała nieboskłon. O zmierzchu zaczęło wiać. Najpierw wiatr wprawił w drżenie brązowe i złote liście, wkrótce potrząsnął cieńszymi gałązkami, by wkrótce giąć grube konary i ganiać tabuny mokrych liści. Przemarznięci skierowaliśmy się wprost do baru. Po otwarciu metalowych drzwi wbiliśmy się w chmurę kwaśnego, tytoniowego dymu. Faceci, ich kufajki, walonki oraz barmanka w szarawym fartuchu majaczyli jak zjawy w gęstych oparach. Przez moment wszystkie spojrzenia skierowały się w naszą stronę, by wkrótce powrócić na dawne miejsca.

Po lekturze wywieszzonego za bufetem menu zamówiliśmy tylko dwa kufłowe, by po chwili zasiąść przy metalowym stoliku pamiętającym z pewnością stan wojenny. Piwo było świeże i zimne, co wprawiło nas w nieco lepszy nastrój. Zaczęliśmy dyskretnie rozglądać się po sali. Pod ścianą, przy sąsiednim stoliku, niemalże jednocześnie wyłowiliśmy z tłumu podobnych do siebie postaci mężczyznę o twarzy wskazującej na wielkie trudy w wieloletnim borykaniu się z egzystencją. Coś w nim było takiego, co skupiało uwagę, coś magnetycznego. Nie minęło czasu wiele i zawariliśmy znajomość. Rozmowa przy kufelku toczyła się wokół spraw puszczańskich. Waclaw, jak się okazało, był emerytowanym gajowym, a Puszcza i jej zwierzyzna były całym jego życiem. Po trzecim piwie rozgadał się, jakby od dawna nie miał sposobności z nikim rozmawiać.

Opowiadał o dzikach jak szafy, bykach noszących wieńce, wewnątrz których dwie osoby wygodnie zasiąść by mogły, najwięcej zaś o wsi Kondycja, składającej się zaledwie z jednego domu, w której dawno temu pewien kmieć sprzedał diabłu duszę za kawałek pola.

Ruszyliśmy oczywiście do Kondycji. Nie minęło nawet pół godziny, gdy z granatowego nieba na przemian zaczął padać to deszcz, to śnieg. Z Zabłudowa do Kondycji jest około 12 kilometrów. Mieliśmy przed sobą dwie i pół godziny marszu spokojnym krokiem. Nie zwlekając, zanurzyliśmy się w czarny las. Snop światła latarki omiatał nieprzenikniętą ścianę puszczy, szczelnie porastającą skraj leśnego duktu. Silny, zachodni wiatr dawał koncert bez partytury na świerki, sosny, dęby, z akcentami w formie pękających, suchych gałęzi. Ochłodziło się nieco i z nieba zaczął padać ni to grad, ni to śnieg. Purpurowy księżyc pojawiał się na moment, aby po chwili zniknąć za gęstą kołdrą burzowych chmur. Od Lipowego Mostu dzieliło nas niecałe dwa kilometry, gdy przez gościniec przeskoczyło niewielkie stado dzików. Zwierzęta były wyraźnie spłoszone i nawet nas nie dostrzegły. Przy samej drodze zajęczało pękające drzewo.

Rozważając co lub kto mógł spłoszyć dzikie świnię, dobrnęliśmy do Lipowego Mostu. Mimo wczesnej pory wioska wyglądała na niemal wymarłą. Tylko w kilku chatkach okna rozświetlało żółte światło świec. Wiatr musiał zerwać linię lub uszkodzić podstację. Ani jeden pies nie zaszczekał, gdy przecinaliśmy

przyprószoną śnieżną kaszą wioskę. Na mostku zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek. Księżyc ukazał się na dłuższą chwilę, wypełniając jasną drogę, dachy chat i łąki czerwonałą poświatą. Podmokłe łąki nad Supraślą jeszcze nie całkiem zamarzyły. Zasugerowałem drogę przez las. Jacek nie wyrzekł słowa podążając za mną. Wiatr nieco osłabł i z nieba sypnęło prawdziwym śniegiem. Ciężkie płatki puchu wirowały wszędzie, jakby wahać się, w którym miejscu mają ostatecznie zakończyć swoją wędrówkę. Zbliżała się godzina 23:30, gdy dotarliśmy do mostku na Stoi.

Byliśmy w Kondycji, gdy w głębi drogi biegnącej w stronę wsi zamajaczyła jakaś postać. Ciemna sylwetka powoli zbliżała się w stronę mostku. Po chwili dał się słyszeć wyraźny odgłos stąpania po piaszczystym podłożu. Dwa kroki przede mną stał pan Waclaw. Zamurowało mnie. Prędzej spodziewałem się spotkać na tym pustkowiu ducha, niż właśnie jego. Stary mężczyzna popatrzył na mnie, uśmiechnął się i rzekł:

- *Co, jednak przyszlście?* – Nie wiedziałem co odpowiedzieć i pomyślałem, że poczęstuję go papierosem. Gdy okazało się, że paczka jest pusta, schyliłem się do plecaka, który stał przy barierce mostku. Wyprostowałem się z zapieczętowaną jeszcze paczką i stwierdziłem, że jesteśmy z Jackiem na mostku sami.

- Gdzie on jest?
- Nie wiem. Rozpłynął się w ciemnościach.
- Jak to rozpłynął się?
- Nie mam pojęcia. Był i po chwili po prostu zniknął.

Kilka dni później powróciłem do Zabłudowa, aby odszukać starego leśnika. Wypytywałem o Waclawa w barze i pod sklepem spożywczym, będącym stałą czatownią miejscowych piwoszy, nikt jednak o nim nie słyszał. Zrezygnowałem już niemal z dalszych poszukiwań, gdy pod sklepem pojawił się starszy mężczyzna w ciężkim kozuchu do ziemi. *Znałem go, pewno, że znałem* – powiedział – *tyle, że Waclaw nie żyje już od sześciu lat.*

Legenda z Puszczy Knyszyńskiej – wieś Kondycja

tekst: Tomasz Lippoman
www.bialowieza.com.pl

Jest w Puszczy Knyszyńskiej wieś Kondycja, składająca się tylko z jednego domu. W domu tym mieszka sołtys tego dwuosobowego królestwa, składającego się z sołtysa i sołtysowej. Nasuwa się tu pytanie, czemu wieś Kondycja jest tak nieliczna, oraz nieco bardziej frapujące, czemu jest aż tak liczna?

Było to dawno temu, w czasach, gdy gościńcami wędrowali rycerze w zbrojach, a w knyszyńskich matecznikach mieszkali niedźwiedzie i rosomaki. W samym środku

Puszczy, nad rzeką Słoją, osiadł wraz z rodziną Wojciech – syn bednarza. Gospodarstwo jego składało się z niemal 30 morgów żyznej gleby. W skład majątku wchodziły soczyste łąki i spory kawałek ornej ziemi położony pod samym lasem. Wojciech był człowiekiem pracowitym i silnym. Rok po roku przybywało majątku w zamkniętym na solidne, kowalskie zamki świrunku. Dzieci rosły, a wraz z nimi rosła gospodarka. Gospodarz zarobione pieniądze lokował w ziemię, dokupując po kawałku od mniej zaradnych sąsiadów. Z czasem był posiadaczem niemal dwukrotnie większego kawałka pola niż w dniu, w którym osiadł nad Słoją. Ulubioną rozrywką Wojciecha było siadywanie na niewielkim pagórku pod lasem i podziwianie swojej majątkości.

Po kilkunastu latach odkupił od sąsiadów wszystkie okoliczne pola i uchodził za miejscowego bogacza. Poczuli się jak pan na włościach, gdyby nie jeden mały problem. Problem nazywał się Marcin, pochodził z kowalskiej rodziny i był jego ostatnim sąsiadem. Syn bednarza kuśli i prosił, nalegał, a nawet straszyl, lecz nic nie pomagało. Marcin nie zamierzał zostać się ze swoją gospodarką. Wojciech chodził jak struty, wychudł, szcerniał, lecz bynajmniej nie wyszlachetniał. Jego serce przepełniała coraz większa nienawiść, a w głowie co i raz rodziły się mordercze myśli. Syn kowala jednak nie był kiep, ani ułomek, a do tego miał przy boku czterech dorodnych synów.

Pewnego grudniowego wieczoru Wojciech wybrał się na obchód swoich włości. Z przyzwyczajenia zaszedł na górkę pod lasem. Zasiadł na kamieniu i zatopił się w czarnych myślach. Im dłużej myślał, tym bardziej nie mógł znaleźć wyjścia z sytuacji. Już miał zbierać się do chaty, gdy niemal same wypłynęły mu z ust słowa: „Duszę bym diabłu sprzedał, byle się gada pozbyć”. Zapachniało siarką i w obłoku dymu ukazał się Boruta. – „Wołałeś mnie, więc jestem” – powiedział z przymilnym uśmiechem i natychmiast wyciągnął zza pazuchy gotowy cyrograf spisany na świńskiej skórze. Wojciech śmiertelnie się wystraszył i próbował zmykać do chaty. Nogi jednak odmówiły posłuszeństwa. Stał jak słup soli i słuchał pięknych słówek, którymi karmił go Zły. A diabeł miał w tym względzie niemalą ekspieriencję. Kuśli, namawiał, mamił. Skołowany chłop złamał się wreszcie i podpisał cyrograf własną krwią. Diabeł obiecał, że najdalej za dwie niedziele zgładzi sąsiada wraz z całą rodziną, a jego ziemia przypadnie Wojciechowi.

Po kilku dniach nad okolicę nadciągnęło morowe powietrze. Wielu zaniemogło. Zaraza nie ominęła i pięknych łąk nad Słoją. Zgodnie z daną obietnicą Marcin wraz z rodziną ciężko zachorował i po kilku dniach oddał ducha w męczarniach. Kostucha nie zapomniała także o żonie oraz synach nieszczęśnika. Diabeł jednak okazał się nieco nadgorliwy, bo i cała rodzina Wojciecha zapadła na straszną chorobę i wkrótce dołączyła do innych, którzy za sprawą morowego powietrza pomarli, zamieniając piękną okolicę w miejsce posępne i odludne. Syn bednarza pozostał sam jak palec. W promieniu 10 wiorst nie było oprócz niego ani jednej żywej duszy. Historia milczy o dalszych losach chciwego chłopca. Wiadomo, że zmarł z rozpacz, nie opuściwszy przeklętej ziemi. Ciało jego rozszarpały z pewnością dzikie zwierzęta, a niepochowane kości wały się jeszcze długo po zakończeniu marnego żywota. Po jego chacie wkrótce nie pozostał kamień na kamieniu. Od tamtych czasów wielu próbowało osiąść na słojskich łąkach w okolicy dzisiejszej Kondycji. Wszyscy jednak w popłochu opuszczali to miejsce, nawet nie kończąc budowy domu. Jak bowiem wiadomo, nad rzeką wciąż pokutuje duch Wojciecha. W wietrzne i deszczowe noce, a szczególnie w czasie zimowego przesilenia, ukazuje się on ludziom w tabunie śniegu, pokryty czarnymi krostami. Niekiedy niespokojny duch wyje przeraźliwie i miota straszliwe przekleństwa na Borutę.